

LARAICI.

PRZEZ

Józefa Korczaka.

I.

Nie zdarzyło mi się nigdy znaleźć na żadnej mappie Szwajcaryi wioski Larsdorf, leżącej nad jeziorem Zürich, ani w żadnym przewodniku dla podróżujących po tym kraju wzmianki o wsi téj nie napotkałem; byłbym téż nie miał zapewne o niéj wiadomości, gdyby nie przypadkowe zawędrowanie do téj ustroni, przy piechotnych moich po Szwajcaryi pielgrzymkach. I w istocie nie dziwię się, że miejscowość ta uniknęła baczości zwiedzających malowniczą krainę Wilhelma Tella, gdyż na zewnątrz żadną oddzielną szczególnością się nie wyróżnia. Położenie jéj nad zachwycającém jeziorem, okoloném widokami dla poetów, malarzy i miłośników pięknej przyrody jakby umyślnie stworzonémi, jest dla widza nie wyczerpaném źródłem rozkoszy; lecz zalety takie są wspólne tylu cudownym miejscom górskich dolin i wyżyn alpejskich, że podróżnik nie pewny którym uboczom przyrody dać pierwszeństwo, znajduje się w ciągłym rozkołysaniu uczucia i piękności, napawa się z równym zachwytem ciągle przesuwałémi się, choć zawsze nowemi krajobrazami. Obojętną jest rzeczą dla czytelnika, jakim zdarzeniom winienem skierowanie kroków moich do Larsdorfu, to tylko nadmienię muszę, że gdy w jednej z wiosek poblizkich oznajmiłem chęć udania się do miejsca które mnie już zdaleka nęciło przyjemnym sielskim

obrazem, objaśniono mnie że znajdę się w siedzibie Laraitów i że pewnie gościnnie od nich przyjęty będę. Z razu nie zwróciłem uwagi na nazwę Laraitów, ludności téj nadaną, tylko przyswajając sobie z ufnością wzmiankę o jój gościnném usposobieniu, z tém większą ochotą puściłem się ścieżką idącą kręto, to nad samym brzegiem jeziora, to wśród wąwozów i zagajeń najbogatszą roślinnością urozmaiconych. Gdy już do pierwszych domostw Larsdorfu dochodził, uderzył mnie niepospolity ruch w wiosce panujący i świąteczne niejako jój przybranie, którego, jako w dzień powszedni wytłumaczyć sobie nie mogłem. Największe zebranie ludności było przed domem fantastycznie na wzniesieniu stojącym, mającym wszystkie, a tak dobrze znane cechy, szwajcarskiej budowli do zamożnego i rządowego gospodarza należącój, okolonój porządnymi zabudowaniami użytkowemi i życiem objawiającém się w każdym szczególe. Poznany na samo wejście jako wędrowiec, ujrzałem wszystkie niemal oblicza na mnie zwrócone; lecz w nich prócz ciekawości tylko łagodną przychylność wyczytać mogłem, a za chwilę zbliżył się do mnie poważny i przyjemnego obejścia staruszek, zapraszając jako miejscowy gospodarz, abym w jego mieszkaniu spocząć zechciał i połączyć się z liczném towarzystwem które nas okalało. Chętnie zadosyć uczyniłem téj uprzejmój prośbie, lecz zarazem wyraziłem obawę, stania się natrętnym tak gospodarzowi jako i jego przyjaciółom, widząc iż mieszam się niespodziewanie do jakiejś uroczystości, która jest dla mnie obcą.

— I owszem — odpowiedział staruszek — wielką pan nam przyjemność sprawisz pozostając z nami, i przytem będziesz mógł być świadkiem obrzędu nie często powtarzającego się, lecz odwiecznym u nas zwyczajem uświęconego.

Ta ostatnia wzmianka więcéj jeszcze zachęciła mnie do zatrzymania się w Larsdorfie, a gdy, przy podanym mi obfitym, choć skromnym posiłku, bliżéj zacząłem się obznajmiać z otaczającemi mnie mieszkańcami, zajęcie moje wzrastało w miarę dowiadywania się o różnych szczegółach miejscowych, niezwykłością i jakąś starożytną prostotą technicznych. Gospodarz moj, Wilhelm Larsberg, zapoznał mnie zaraz z synem swoim Hansem, którego ślub z młodą narzeczoną był właśnie przedmiotem dzisiejszego obchodu. Przyznałem

że ta uroczystość rodzinna, wielce musi być dla niego przyjemną, lecz cały urok spodziewanego jakiegoś szczególnego widowiska znikł z mojej wyobraźni, sądząc iż ujrzę zwyczajny weselny obrzęd. Jednak z błędu tego wyprowadzony zaraz zostałem, gdy stary Wilhelm dodał:

— Nie wspominałbym nawet panu o tej okoliczności, gdyby syn mój tak jak inni, siedł na własne gospodarstwo pojmując młodą i zającą dziewczynę przez siebie wybraną; lecz, widzisz pan, mój syn jest Larem i dlatego wszystkich Laraitów ożenienie jego mocno obchodzi; to też uroczystość dzisiejsza wielkie ma znaczenie, nie tylko dla mnie, ale i dla całej naszej rzeszy.

— Wybaczysz mi szanowny gospodarzu — odrzekłem — że jako obcy w tych stronach, znaczenia twoich wyrazów nie pojmuję; a chociaż mi już w sąsiedniej wiosce o Laraitach wspomniano, więcęć objaśniony o tym przedmiocie wcale nie jestem i racz mi bliżej rzecz wytłumaczyć.

— My wszyscy — rzekł Wilhelm — od wieków osiadli w tej wiosce, a jest nas z górą tysiąc głów, zaliczamy się do jednego rodu, lub przynajmniej. jeżeli pan chcesz do jednego plemienia, którego głową uznajemy ojca Lara, będącego przed niezliczonymi wiekami podstawą i założycielem naszego szczepu. Nie łączymy się z innymi plemionami, ale też rozszerzać się ani mnożyć nie pragniemy. Córki nasze mogą wychodzić za mąż do innych wsi, nawet do innych kantonów szwajcarskich, i to ciągle się zdarza; ale od tego czasu do Laraitów się nie liczą i ten tylko zachowują przywilej, że ich córki lub wnuczki, lecz nie dalej, mogą łączyć się z młodymi Laraitami, a wtedy już jako mężatki napowrót do naszego szczepu wchodzi. Przeciwnie chłopcy ze wsi naszej, mają tylko pozwolenie brać za żony prawdziwe Laraitki, lub takie dziewczęta, które jak powiedziałem w drugim lub trzecim stopniu, wprost od Laraitki pochodzą. Jak zapamiętają tutaj najstarsi ludzie, a i ja, siedmdziesiąty piąty już rok liczę, nie wydarzyło się między naszą młodzieżą uchybienie temu prawidłu. I ta oto przyszła moja synowa Liza, która musi się panu podobać, bo wysmukła jak kózka, a czerwieni się jak jabłuszko, jest wnuczką dawnego mojego sąsiada Friedricha Larsblana, którego rodzina tu wygasła, ale którejś córka wyszedłszy za mąż aż w kanton Berneński, dała

życie téj oto miłej dziewczeczce. To téż i syn mój i ona pewni są mego błogosławieństwa i spodziewam się że Pan Bóg dozwoli im żyć szczęśliwie i bogobośnie.

— Jednak — odezwałem się — w téj waszej osadzie musi być dużo oddzielnych rodów, gdyż jak sami powiadacie jednéj nie tworzycie rodziny, a ztąd zapewne wynikają coraz nowe w ludności zmiany.

— Bynajmniej — odpowiedział Wilhelm — pokrewni wszyscy jesteśmy, lecz w stopniach tak dalekich, że się i pamięć tych związków zatarła; mamy jednak pewność pochodzenia z jednego szczepu, gdyż nie ma u nas żadnej rodziny, którójby nazwisko nie zaczynało się od zgłoski Lar. I w istocie odwieczne podania nas zapewniają, że wszyscy nasi przodkowie tak jak i my byli czystymi Larami pochodzącymi od ojca Lara i matki Lary, tylko różni różne otrzymywali przydomki, które z upływem czasu zamieniły się w rodowe nazwiska. I tak mój przodek mianował się Lar z góry, i dlatego moja rodzina zowie się Larsberg. Dziad mojej przyszłej synowej był z rodu Lara błękitnego, Larblau: mamy téż inne rodziny Lara mocnego, Larfest; Lara od kamienia, Larstein, Lara od skały, Larfelt, i wiele innych. Jest nas teraz sto kilkadziesiąt rodzin, a wszystkich nas zowią Laraitami i my sami nazwanie to za chlubne uważamy.

Lecz dla czegoż, szanowny Wilhelmie, nazwałeś syna swego Larem, jakby się od reszty waszego plemienia odróżniał?

— To także z odwiecznych podań naszych pochodzi. U nas czas wspomnień plemiennych liczy się według pokoleń, a każdego pokolenia najstarszy członek zawsze pierwotne imię Lara nosi.

Po jego śmierci, pierwszy młodzian zachodzący w związki małżeńskie staje się Larem i zostaje nim do końca życia a tak ciągle następuje jedno pokolenie po drugiem, chociaż mogą one być bardzo nierówne co do długości czasu. Za mego życia trzeciego Lara obchodzimy wesele, a choć zdarzało się że od ślubu Lara upływało pięćdziesiąt lat i więcej nim nowy po nim następował, w innych znowu razach Lar żył bardzo krótko, można jednak liczyć, że w biegu wieków, więcej jak trzy pokolenia na lat sto nie odnawiają się.

— Czy Lar ma u was szczególne jakie przywileje i wykonywa jaką władzę?

— O! wcale nie; prawa nasze są ogólnemi prawami rzeczy-pospolitéj Szwajcarskiej i kantonu Zürichskiego.

Tylko ze ślubem Lara łączy się nasz odwieczny plemienny obchód wydobywania najdroższego po ojcu Larze zabytku i zaznaczenia na nim początku, nowego pokolenia. Jakim jest ten zabytek, przekonasz się pan naocznie, gdyż dzisiaj zmienimy mu mieszkanie.

Objaśniam zawczasu, że to jest przedmiot jak się zdaje kamienny, w kształcie tablicy, wielkości blisko metra kwadratowego, zamknięty w drewnianej skrzyni, w której złożona jest także krzemienna siekierka. Zwyczaj przodków naszych nakazuje, ażeby każdy nowy Lar sprawił nową drewnianą skrzynkę dla tablicy i nowe toporzysko dla siekiery.

Stare zaś, sam Lar musi porąbać, a żona jego w dniu ślubu, drzewem tém upiec chleb, który przy wspólnej spożywa się uczcie. Podanie niesie, że dawniej porąbanie skrzyni nastąpić było powinno kamienną siekierką. Lecz już oddawna tę część zwyczaju zarzucono i tylko dla jego przypomnienia, Lar kilkakrotnie siekierką kamienną uderza, a porąbanie zwyczajnemi narzędziami dokonywa.

— Czy nie macie, zapytałem, żadnej bliższej wiadomości o początku i znaczeniu tych waszych obrzędów?

— I owszem, rzekł jakby z obrazą Wilhelm. Przecho-wują się u nas wszystkie niemal szczegóły życia ojca Lara i jego żony. Właśnie w dzień rozpoczęcia nowego pokolenia, jak dzień dzisiejszy, na zebraniu całego naszego plemienia, najstarsi jego członkowie opowiadają wszystkim zgromadzo-nym przygody ojca Lara, jak je od swoich rodziców słyszeli, a tym sposobem pamięć tych wypadków nigdy nie ginie i z jednego do drugiego przechodzi pokolenia. Będziesz Pan i dzisiaj słyszał całą tę cudowną naszą opowieść, która jest skarbem dla nas nieoszacowanym, z największém poświęceniem i miłością strzeżonym.

Ciekawość moja coraz więcej temi szczegółami podnie-czona, zwrócona jeszcze została w inną stronę, gdzie zgromadzenie coraz się powiększało.

II.

W niejakićj odległości od domu Wilhelma, wznosiła się nowa murowana budowla, której wysoko wyprowadzony komin wskazywał odrazu, że to jest jakiś zakład fabryczny posługujący się siłą maszyny parowćj. Zapytany przezemnie Wilhelm cobyto było za zabudowanie, odpowiedział, iż to jest nowo wzniesiony młyn mechaniczny wraz z udoskonaloną najnowszemi odkryciami piekarnią.

— Przez długi ciąg mojego gospodarstwa, mówił Wilhelm, dorobiłem się nie mało grosza, lecz przedewszystkiem myślałem o wykształceniu swego jedynaka, aby zarobek ciężkiej i wytrwałćj moćj pracy nie poszedł w marne ręce i był użyty na chrześcijańskie, to jest korzystne dla całego naszego społeczeństwa cele. Mogę się tćż pochwalić, że Hans dotychczas moim staraniom odpowiada i wszyscy mu tę sprawiedliwą oddają zaletę. Po ukończeniu koniecznych pierwotnych nauk w naszćj ojczyźnie, posłałem go do Instytutu politechnicznego w Paryżu, gdzie z zamiłowaniem oddał się badaniom tak potrzebnym w naszćj epoce przemysłu i rozumnych przedsięwzięć. Hans pozostał prostaczkiem na pozór, lecz zdobył wielki zapas wiedzy, który, spodziewam się, poprowadzi go w dalszćm życiu po drodze pracy i prawości. Pozostałem mu wybór szczególnćj gałęzi wiadomości, jakicćj chciałby się poświęcić, a gdy nauki politechniczne ukończył, i niejaki czas ich praktyce poświęcił, oświadczył mi zamiar zajęcia się wystawieniem wielkiego młyna mechanicznego, któryby całą naszą okolicę, w potrzebne zaopatrywał wyroby i na dalszy handel je przysposabiał. Zgodziłem się na ten zamiar i przeznaczyłem na jego urzeczywistnienie nie mały fundusz, w nadziei, że Hans z zapałem i wytrwałością które go cechują, zdoła umiejętnie i korzystnie zakład ten poprowadzić. Już parę lat nad tćm znakomitćm przedsięwzięciem pracujemy i dziś oto przy tak wielkiej dla nas uroczystości, następuje także pierwsze wprowadzenie w ruch młyna mechanicznego.

— Lecz wspominaleś mi, ojcze Wilhelmie, że i piekarnia wzorowa, ma być także przy tćm zakładzie urządzona. To

jest już oddzielne przedsięwzięcie, cóż więc was mogło spowodować do połączenia obu?

— To, odrzekł Wilhelm, należy już do czysto osobistój historii Hansa. W przejażdżkach swoich, wywołanych urządzeniem młyna, zatrzymał się czas dłuższy w Bernie, i tam poznał dzisiejszą swoją oblubienicę Lizę, do której młode serce bystro się zapaliło i wkrótce wzajemność pozyskało. Liza jest córką zamożnego piekarza z Bernu i od dzieciństwa była wtajemniczona we wszystkie szczegóły tego najużyteczniejszego rzemiosła. Lecz ojciec Lizy nie jest to taki zwyczajny wyrobnik; umie on iść za postępami swjej sztuki i córkę wychował w zamiłowaniu nauki i pracy. Młoda piekareczka, jeżeli nie przy książce, to była przy gospodarstwie w piekarni, a jej rozważny umysł takiego wkrótce nabył doświadczenia i hartu, że się stała prawą ręką ojca, a jej bułeczki i rozliczne ciasta, nabrały wielkiego rozgłosu nie tylko w Bernie, ale i w całym Oberlandzie; dotąd też bułeczki Lizy trzymają tam między wszystkimi innymi pierwszeństwo. Żal było Lizie opuszczać piekarnię ojca, która stała się widownią jej ulubionego zatrudnienia, a nawet zasłużonej sławy. Postanowili więc z Hansem, iż przy zmianie swego położenia rodzinnego, nie zmieni ona zajęcia w którym już takiej nabyła biegłości, i ze wspólną uciechą i gorliwością zajęli się urządzeniem przy zakładającym się młynie, wzorowej i udoskonalonej piekarni, która pod wyłącznym kierunkiem Lizy pozostanie.

Widzisz więc, szanowny gościu, że się dla dzieci moich obszerne pole działania rozwija; młode siły i odważny rozum będą niemi kierowały, a mnie staremu pozwolą nieco odpocząć po całym życiu trudów i pracy, tudzież z większą jeszcze jak dotąd pilnością, poświęcić resztę ziemskiej mojej wędrówki, ulubionemu przedmiotowi badań oddawna poszukiwanych, których już spore posiadam owoce.

— Cóż jest przedmiotem tych badań? — z zajęciem zapytałem.

— Przeszłość i to najodleglejsza przeszłość, odpowiedział Wilhelm, stawiała mi zawsze niezliczony szereg zapytań, na które szukałem odpowiedzi w zabytkach, jakie nam przeszłość ta przekazała, a które trzeba tylko nauczyć się pozna-

wać, rozróżniać i oceniać. Przy takim badaniu stają się one wkrótce zrozumiałemi głoskami wielkiej księgi dziejowej, a im więcej się w nie wczytujemy, im głębiej zapuszczamy się w tajemnice na pierwszy rzut oka zupełnie nieodgadnione, tém jaśniej odkrywa się przed nami obraz najdawniejszych losów ludzkości, zasłonięty oponą którą zwolna odchylając znajdujemy zadziwiające i wielce nauczające wypadki.

Pojmujesz pan, że nasza rzesza, tak chlubne posiadająca wspomnienia wiekuistych swoich od ojca Lara początków, ma ciągle myśl i dążenia ku téj przeszłości skierowane.

Tu właśnie, daleko w obszar wód jeziora Zürich, dopóki tylko niewielka głębokość dna dozwala, ciągną się szczątki palów jeziornej wioski, jaka przed niezrachowanemi wiekami była ojczyzną ojca Lara, a która dotąd i naszą ojczyzną zwać się może, bo tylko z upływem czasów, z wód cofnęliśmy się na ląd i wszechmocną siłą Opatrzności dotąd na tym świętym utrzymujemy się gruncie, ufni w nadzieję że i najpóźniejsi nasi potomkowie też samą od Boga im przeznaczoną dzielnicę zachowają. Otóż tę naszą tajemniczą ojczyznę badam z zamiłowaniem od lat wielu.

Przy małych wprowadzie środkach, lecz przy chętniej bratniej pomocy całej miejscowej ludności, nasze zbiory i owoce badań coraz się powiększają.

Mamy już znaczne nagromadzenie zabytków epoki tak zwanéj kamiennéj i późniejszych bronzowéj i żelaznéj, które nas już mniej obchodzą, bo wkraczają w dziedzinę zwyczajnych pisanych dziejów, bardzo świeżych dla nas, szczytujących się nieskończenie dawniejszą przeszłością. Z głębi jeziora i z okolicznych gruntów, zebrał się zapas rozlicznych narzędzi z kamienia i innych twardych kamieni wyrabianych, których użytek widocznie może być rozpoznany; są to większe lub mniejsze noże, kliny, siekierki, ostrza strzał i różnej broni, wszelakie gospodarskie lub wojenne narzędzia. Z wyrobów glinianych niewątpliwie do codziennego domowego służących użytku, najdawniejsze mniej kształtne i tylko z suszonej gliny lepiące, wydostają się w późniejszych wiekach na dokładnie wypalane, a wreszcie dochodzą do ozdoby i trwałości etruskich naczyń. Kościane wyroby są rzadsze, lecz nie mniej cenne i stanowią zwykle ozdoby i przybory ubrania. - Takie też z wieków późniejszych mamy szczegóły

bronzowe, odznaczające się nieraz bardzo zręcznym i pięknym wyrobieniem.

Lecz osobny i może najważniejszy dział zbiorów stanowią szczątki dawnych organicznych stworzeń, których nauka geologii tak umiejętnie używa do oznaczenia wieku warstw ziemnych i do tłumaczenia zmian, jakim lądy i wody ulegały, wreszcie do przekonania się od jak dawnych czasów ród ludzki na ziemi naszej panuje, jakie przebywał stopniowo koleje i jak panowanie swoje stopniowo rozpościerał. W tym oddziale zbiorów najbogatszym w muszle, jest także bardzo wiele kości zwierząt kręgowych, bądź tak zwanych przedpotopowych, to jest które w krajach naszych zupełnie znikły, bądź podobnych zupełnie do dziś istniejących. Mamy także i kilka najrzadszych zabytków ludzkich kości, które nie tylko do naukowych badań są najszacowniejsze, ale które my w szczególności za rodzinne relikwie uważając, ze czcią i uszanowaniem przechowujemy.

— Czy będę mógł zwiedzić i zbadać, zapytałem, te tak drogie dla nauki zabytki?

— I owszem; zbiory te trzymamy otworem dla tych, którzy je ocenić i szanować umieją. I ten przedmiot z dzisiejszą naszą uroczystością jest połączony, gdyż w gmachu nowo wzniesionym, którego główne przeznaczenie jest zakład przemysłowy, oddzieliśmy kilka izb obszernych i wygodnych, dla pomieszczenia naszego muzeum starożytności i dziś także ten przybytek naukowy, pierwszy raz, po zupełnym uporządkowaniu, zostaje otwarty. Hans podziela moje zafascynowanie do przedwiekowych starożytności, i przy innych swoich zajęciach, znakomicie wydoskonalił się w całej téj archeologicznej nauce.

Dlatego chętnie i ja i cała nasza rzesza zgodziliśmy się na pomieszczenie zbiorów w jego zakładzie, pewni będąc że nie może być staranniejszej i umiejętniejszej powierzony opiece.

Miałem zamiar dalsze jeszcze czynić zapytanie mojemu gospodarzowi, gdy zostaliśmy zawiadomieni, że wszystko do obrzędu ślubnego Hanza i Lizy, tudzież do uroczystości Laraitów i otwarcia zakładu przemysłowego jest przygotowane. Całe więc zgromadzenie ruszyło się z miejsc bez porządku dotąd zajmowanych i udało się najprzód do miejsc.

wój świątyni pod przewodnictwem starego Wilhelma, który ze szczególną dobrocią zajmował się ciągle zapewnieniem mi dogodnego miejsca, abym wszystko mógł dokładnie widzieć i słyszeć.

III.

Państwo młodzi bardzo słusznie na to miano zasługiwali i odpowiadali w zupełności wyobrażeniu, jakie sobie czynimy o dobranej i hożej parze losy swe łączącej. Postawa i twarz Hanza, pełne zdrowia i życia, odznaczały się tą pierwotną jednością i szczerą otwartością jakie zwykle góralów cechują; lecz obok tego, wyraziste rysy jego, wysokie czoło, przenikliwe oczy, wskazywały wyższe pojęcie i rozum, myśleniem tudzież pracą wyrobiony. Liza bardzo dobrze przez teścia do czerwonego jabłuszka przyrównana, miała tę czerstwość i pogodę, które łączą się tylko z niewinną duszą i gorącym sercem.

Lecz we wzroku jój, obok nieudanej skromności, zawierała się zniewalająca powaga i zrozumienie całej ważności życia, obowiązkiem i chęcią postępu kierowanego. Kibić jój nie można powiedzieć żeby była powiewna i chwiejna; owszem pewna siła w niej przemagała, lecz zgrabność kształtów, brak delikatności wynagradzała. Przy obrzędzie ślubnym oboje narzeczeni wykonali wzajemne przysięgi bez zbytecznego roztkliwienia, wszakże z widocznym wzruszeniem i pojęciem wielkości słów wymawianych; a gdy po wyjściu z kościoła, cała rzesza skierowała się do miejsca przeznaczonego na uroczystość Laraitów, Hans z Lizą wzięwszy się pod ręce, wydawali się parą oddawna już połączoną, jedną myślą i jednemi chęciami ożywioną.

Wilhelm jako jeden z najstarszych we wsi, i jak się przekonałem, wielce przez swych plemienników szanowany, powiodł całą a liczną rzeszę ku środkowi wsi, gdzie pod starymi dębami w koło zasadzonymi znajdowało się murowane niskie sklepienie, żadnemi nie ukraszone ozdobami, tylko mocnemi zamknięte drzwiami. Tu dobył wielki klucz, drzwi otworzył, wszedł wewnątrz sklepienia z Hansem i kilku innemi mieszkańcami, a po chwili wynieśli oni drewnianą

skrzynię i umieścili ją na przyległym pagórku, obok innej nowiej już tamże stojącej.

Gdy wszyscy obecni otoczyli wielkiem kołem pagórek, Wilhelm wyjął ze skrzyni, z pomocą Hansa przechowywany w niej zabytek i postavili go na skrzyni, trzymając w położeniu stojącym tak aby od obecnych mógł być dobrze widziany, a Wilhelm poważnym i donośnym głosem zawołał:

„Przed latami, przed wiekami, żył nasz ojciec Lar; on zostawił tę tablicę, dla swoich potomków. Na niej wyrzył ostrém dłutem, dwa wielkie wypadki, które jego sławne imię synom przekazały. Niechaj wszyscy Laraici tu się zbiegną wkoło, niech z nich każdy bystrém okiem świętość swą ogląda. Bo wam mówię, bracia mili i wy zacne siostry, ciężkoby nam było tutaj, na tym pięknym świecie, gdyby prace ojca Lara, z naszą matką Larą, nie były nam sprowadziły dni jasných i błogich.

Więc na lata i na wieki, niech ich szczęsna pamięć u każdego Laraity w sercu nie zagaśnie!”

Po téj przemowie, która od niepamiętných czasów w tym samym sposobie jest powtarzana, nastąpiło przystępowanie do tablicy przez wszystkich obecnych, którzy z największą ciekawością ją oglądali, gdyż ponieważ ostatni raz uroczystość Lara obchodzona była blisko przed trzydziestą laty, w r. 1832, większa część mieszkańców, mianowicie cała młodzież wcale jęj nie widziała. To oglądanie trwało przeszło godzinę, w czasie której trzymający tablicę coraz się zmieniali, ażeby utrudzeniu zapobiedz, i żeby wszystkim zostawić dosyć czasu i sposobności do jęj obejrzenia. Można miarkować że ja byłem jeden z pierwszych których ciekawość zaprowadziła blisko tablicy dla najdokładniejszego przyjrzenia się zabytkowi Laraitów i przez cały prawie czas wystawienia jego na widok publiczny, wcale go nie odstępowałem badając wszelkie szczegóły i zaciągając objaśnień bądź od Willhelma, bądź od kilku stanów w zgromadzeniu znajdujących się. Mogę więc zabytek ten bardzo dobrze opisać.

Pierwotna wzmianka jaką mi Wilhelm o nim uczynił, jest zupełnie prawdziwa, gdyż w istocie stanowi on tablicę, z wapienia dość miękkiego, kształtu czworokątnego, cokolwiek podłużnego, mogącego mieć około metr jeden na długość, a około 9ciu decymetrów na szerokość. Grubość dochodzi

od 8miu do 15stu centymetrów, gdyż tylna jój powierzchnia nie jest wcale obrobiona i jakby prosto ze skały wycięta przedstawia różne wklęsłości i garby. Lecz krawędzie od strony prawej dość ostro obcięte, w niektórych tylko miejscach okazują się cokolwiek poszczerbione i jeden róg nieco obłamany. Dwie z tych krawędzi są zapełnione bardzo gęstemi i dość regularnie przy sobie stojącemi nacięciami. Trzecia krawędź od dołu, jest także prawie do połowy podobnemiz nacięciami opatrzona, a na zapytanie moje o znaczenie tych nacięć, objaśniono mnie, że wykonywa się jedno takie nacięcie, za każdym wyjęciem tablicy ze skrzyni, to jest przy obchodzie, tak jak dzisiejszy, otwarcia nowego pokolenia i ślubu nowego Lara.

Lecz najbardziej mnie uderzyła sama rzeźba na tablicy wykuta. Dzieło to jest bardzo grubej i nie wprawnej ręki, jednak dobrze wpatrzywszy się w te wypukłości ogólny kształt przedstawiające, nie mało zdziwiłem się rozpoznawszy wyobrażenie ogromnego zwierzęcia, które pomimo niekształtności we wszystkich swych częściach przedstawia budowę słonia, gdyż jest widoczna długa trąba i ogromne dwa kły w górę podniesione i w końcach na wewnątrz bardzo widocznie, prawie wężowato zagięte. Można także poznać ogromne wiszące uszy, kadłub lekko tylko u góry zaokrąglony i niezgrabne cztery nogi więcej do wielkich słupów jak do członków zwierzęcia podobne. O ogromie zwierzęcia, zapewne jeszcze przez twórcę rzeźby powiększonego, przekonywa rozmiar dwóch osób na karku zwierzęcia siedzących, które zaledwie trzecią część wielkości uszu jego dochodzą. Lubo wyobrażenie tych dwóch osób więcej jest zatarte jak reszty rzeźby, z powodu małych rozmiarów, jednak wyraźnie widzieć można, że jedna z nich jak się zdaje mężczyzna, ma rękę do góry podniesioną z jakąś włócznią lub bronią, druga, zapewne kobieta trzyma w obu rękach okrągły przedmiot, wyobrażać mający, podług podania Laraitów, wielki bochenek chleba.

W ogólności nie mogę zaprzeczyć że ta tablica Laraitów nosi na sobie wszystkie cechy najodleglejszej starożytności.

Gatunku kamienia, dla braku czasu nie mogłem z zupełną ścisłością oznaczyć, ani przekonać się czy pochodzi ze skał w okolicy znajdujących się. W wyobrażeniu

zaś zwierzęcia, musiałem uznać, kopalnego słonia czyli mamuta (*elephas primigenius*), o czém muie w zupełności przekonał kształt kłów, a nawet jak się zdaje, chęć rzeźbiarza wyrażenia kędzierzawego runa na całym ciele, gdyż wiadomo że mamuty gestą siercią były pokryte. Długi czas uczeni wątpili czy mamut żył na ziemi łącznie z człowiekiem. Dawniejsze teorye geognostyczne, przypuszczające nagłe przewroty w ukształtowaniu globu ziemskiego, zbyt jednostronnie zapatrywały się na rozwijanie się na nim życia organicznego i zwykle wielkiemu powszechnemu potopowi przypisywały zatracenie rozlicznych zwierząt i roślin dziś wcale nie żyjących, o istnieniu rodu ludzkiego zakreślały bardzo szczupłe, zaledwie kilkadziesiąt wieków sięgające granice. Dzisiaj nauka geologii i archeologii znakomite pod tym względem uczyniła postępy i przekonała nie tylko o bardzo długich szeregach wieków, jakie w życiu kuli ziemskiej potrzebne były do utworzenia różnych pokładów ziemnych i kruszcowych. ale nadto dowiodła że istoty organiczne, w wielowiekowych zmianach, podlegały stopniowemu rozwijaniu się jednych, a niknięciu drugich, że mianowicie ród ludzki jest bez porównania dawniejszym mieszkańcem ziemi jak zwykle chronologiczne rachuby wskazywać zdają się; że wreszcie wszystkie prawie wielkie zwierzęta kopalne, dziś zatracone, żyły na ziemi długie wieki jednocześnie z człowiekiem i dopiero w następstwie czasów wygasają.

I tak, o jednoczesności istnienia ludzi i mamutów przekonały poszukiwania uczonych archeologów i geologów we Francyi pp. Boucher de Perth, Rigollot, Quatrefage Trogou; w Anglii pp. Mac Encry, Falconer, Prestwich, Lyell, Darwin i wielu innych; w Niemczech, krajach Skandynawskich i Ameryce. Lubo bardzo jeszcze mało znaleziono szczątków kościotrupu ludzkiego w pokładach geologicznych odpowiadających zaginionym dziś faunom i florom, lecz dowody przemysłu ludzkiego w warstwach tych obfitują. Są to po większej części wyroby kamienne już powyżej wzmiankowane, odnoszone do tak zwanéj epoki kamiennéj. Poszukiwania gorliwie się wszędzie prowadzą i zapewne do coraz wyraźniejszych i więcej szczegółowych wypadków doprowadzać będą. Lecz już dzisiaj można niejaki stanowcze wyprowadzić wnioski a mianowicie: że ród ludzki przez bardzo

długie wieki musiał walczyć z potęgami przyrody, nieporównanie silniejszymi od tych jakie dziś widzimy; że przeciwnie człowiek, lubo pojedynczo nieraz większą mocą fizyczną i muskularną obdarzony, uważany zbiorowo posiadał tak słabe siły do opierania się ogromnym i strasznym zwierzętom i innym działaczom przyrody, że całe jego istnienie i wszelkie zdolności umysłowe tudzież organiczne, wysilone być zawsze musiały, na tę jedynie nigdy nie ustającą walkę, i dlatego niezliczonych potrzeba było wieków usiłowań i trudów, zanim człowiek przyszedł do opanowania najstraszniejszej przemocy przyrody, i zanim w stopniowych i nadal powoli posuwających się odkryciach, potrzebie i przypadkom zawdzięczanych, zdobył możności istnienia łatwiejszego i zgodniejszego z jego ustrojem.

O tych wielkich, lecz licznymi wiekami od siebie oddalonych przemianach, przekonywają także podania i mitologiczne wyobrażenia wszystkich ludów. Poświęcenie się rolnictwu i pozyskanie zdrowego, niczem zastąpić się nie dającego pokarmu roślinnego w chlebie ze zboża otrzymywanym, jest właśnie owocem tych niezliczonych wieków prób i usiłowań, na które dzisiaj wcale nawet uwagi nie zwracamy, a które w dziejach rodu ludzkiego stanowią najważniejsze i podstawowe dla dzisiejszych pokoleń nabytki. I dzisiaj cała potęga geniuszu i umysłu ludzkiego walczy z przyrodą i ciągle nad nią odnosi zwycięstwa.

Lecz jakżeż broń ludzka do walki téj się wzmogła, a jak opór przyrody zmalał. Dość spojrzeć na potęgę machin i siłę wynalazków.

Te ogólne uwagi przyszły mi na pamięć, przy pierwszym oglądaniu starożytnego zabytku Laraitów i wystawiłem sobie jednym rzutem wyobraźni, różnicę jaka istnieć musiała w myślach, zajęciach, usiłowaniach i dziełach ludzi żyjących za czasów Lara, od praw społecznych dzisiejszych pokoleń.

Nie mogłem więc wstrzymać niepohamowanej ciekawości usłyszenia tego co podanie o samym Larze zachowało, lecz dowiedziałem się że ta część uroczystości poprzedzona jeszcze będzie zniszczeniem dawniej skrzynki przez dzisiejszego Lara.

Jakoż przystępując do tego dzieła, Hans pochwycił siekierkę krzemienną ze skrzynki wyjętą, i podnosząc ją do góry a uderzając w skrzynkę wołał po trzykroć:

„Przed latami, przed wiekami, kamień Lara leżał tu, i na lata i na wieki, niech ten kamień leży tu.”

Po czém schwycił zgrabny i bardzo ostry własny topór i w krótkim czasie ułożył z porąbanej skrzyni wiązkę drewnien, następnie wyjął rękojeść krzemienną siekierki, zasadził nowe przygotowane toporzysko, a stare dorzucił do drzewa ze skrzynki otrzymanego. Tablicę kamienną wraz z krzemienną siekierką położono na nowój skrzyni i pozostawiono ją tam aż do czasu ukończenia uroczystości i zamknięcia starożytnego zabytku w nowo przysposobione schowanie, a tymczasem przystąpiono do opowiadania dziejów Lara, które rozpoczął stary Wilhelm odzywając się do wszystkich zgromadzonych w te słowa:

IV.

„Przed latami, przed wiekami, kraj nasz leżał pod lodem. Wieczna zima w nim panowała, tylko przez kilka tygodni letnich niektóre boki gór ze śniegu otajawszy, wydawały wątkę trawy i blade porosty. Ludzi w tym kraju nie było, bo zimno ich odpychało. Ale wspaniałe zwierzęta między sobą bój wiodły; niedźwiedzie białe i sarny wzajemnie się uganiały, a grube ptastwo, bezpiecznie puchem okryte w jaskiniach skał gnieździło się. Potém nadeszły wieki w których lody znikły, tylko na wierzchołkach lodowce się utrzymały. I te lodowce coraz zsuwając się na dół topniały, odpływały w kształcie rzek wspaniałych i zbierały się w postaci jezior głębokich. Ludzie z południowych okolic ujrzeli że kraj nasz jest piękny; i łąki zielone im się podobają i lasy gęste wabiły, i obfitość zwierzza obiecywała bogactwo okryć ze skór swoich a dostatek pokarmu z pożywnego mięsa. Przyszli ludzie od południa i znalazłszy powabne jezioro, przy niém się zatrzymali.

Tu, rzekli, zbudujemy sobie mieszkanie, aby i inni i następcy nasi mogli się w niém rozpościerać. Ostrożniejsi z nich mówili: może znowu kraj zamarznie jak o tém wiedzieli dziadowie i pradiadowie nasi; niebezpieczno nam bracia w tém siedlisku zostawać.

Ale młodzież zawsze odważna, rad tych nie słuchała; i tą razą młodzież miała słuszość, bo już nie wróciły wieki lodowate, a łąki i lasy coraz były piękniejsze.

Mieszkali więc tu ludzie przez lata i wieki, ale trudne mieli życie. Jeśli się który od osady oddalił, to stał się pastwą krwiożerczego potwornego wilka lub strasznego tygrysa; szczęśliwszy co ich unikał, spotykał olbrzymie słonie, straszne nosorożce, obrzydliwe hyppopotamy, które najstaranniej omijać był zniewolony, gdyż najniewinniej podrażnione gruchotały za jednym zamachem bezbronnego człowieka.

Gdzie wody w bagniska osiadły, ogromne węże, jaszczury sążniste czaiły się na połów ludzkiego mięsa.

Znaleźli się i różni przychodni a złośliwi ludzie, którzy naszych mieszkańców z nad jeziora zniszczyć i wypędzić chcieli.

Więc następowały zabójcze walki i nieraz te tu brzegi krwawemi czerwieniły się potokami. Zebrali się starzy i uradzili iż należy mieszkania pobudować na wodach jeziora, aby do nich złe zwierzęta i gorsi ludzie nie łatwo dostać się mogli. Mieli oni zawsze zapas ostrych narzędzi umiejętnie z krzemieni ciosanych; nie mało czasu i trudu potrzeba było do otłuczenia, obrobienia i zaostrenia każdej takiej siekiery lub każdej dzidy. Ale z czasem gdy ojcowie synom takie drogie sprzęty przekazywali, nagromadziło się ich wielkie bogactwo. Zajęli się zaraz ścinaniem mnóstwa drzew: jedni je na pale zakrzesywali, drudzy na deski podłużne darli: pale wbijali wielką siłą w płytkie dno jeziora, a deski na nich układali, ściany i dachy budowali. Znalazło się że mieli wygodne i bezpieczne mieszkania; żyli przez lata i wieki spokojniejsi; wielu mężów wstawiło się ogromnemi dziećmi; wiele niewiast pomagając mężom, zwiększały domowe wygody. Żyli szczęśliwi broniąc się od złych zwierząt i gorszych ludzi, lecz największą sławę zjednał sobie między niemi potężny Lar, który przed latami, przed wiekami, wyrosł nad jeziorem najprzód w dzielnego chłopca a potem w dzielniejszego stokroć męża. Pochodził on z chaty na jeziorze okrągło zbudowanej, więc pięknie od innych różniąc się. Że był od dzieciństwa śmiały a przebiegły i siły nadludzkiej, więc mu starzy rodzice obronę siedziby powierzyli; kiedy on czuwał uzbrojony w broń straszną,

siostry jego z zupełną spokojnością wiązały sieci różnokształtne i łowiły smakowite ryby jeziora; nawet bracia jedni starsi, drudzy młodszy od niego, chętnie stawali pod jego dowództwem, gdy przyszła wyprawa na groźnego zwierza lub srogiego nieprzyjaciela, bo wiedzieli że nikt ich lepiej nie poprowadzi, pewniej od niebezpieczeństwa nie ocali.

Z latami i z wiekami straszne, ogromne zwierzęta coraz stawały się rzadsze; mieszkańcy jeziora coraz swobodniej mogli w rodzinach błogię używać spokojności. Już tylko najstarsi ludzie opowiadali to co od przodków swoich słyszeli, o hienach i jaszczurach potwornych, które bez śladu znikły, nawet o tych skoniach z sążnistymi kłami i trąbą jak wąż wywijającą się, zdolną najgrubsze drzewa wyrwać i człowieka jak małego zgnieść robaczka. Lecz nie brakło jeszcze potężnych w lasach nieprzyjaciół a okrutne niedźwiedzie i zapalczywe żubry, oblegały nie raz osadę jeziora ogólnem grożąc spustoszeniem.

Zdołali już wówczas osadnicy, przyswoić niektóre łagodniejsze zwierzęta i potulne owce dostarczały im skór, runa, mięsa i mleka; nawet z dzikich koni zdarzało się niektóre ujeździć, lecz byk potężny opierał się ludzkiej niewoli i nie zaznał jeszcze jarzma, bo téż i ludzie bogactwa jakie z ziemi rolnik wydobyć może nie znali i pomocy do uprawy gruntu nie potrzebowali. Mięso i owczy nabiał pożywienie ich stanowiło, a niektóre dzikie owoce zaledwie cierpkości i kwasu pozbywać się zaczynały.

Dnia jednego, młodszy brat Lara wpadł do chaty z wielką trwogą opowiadając iż widział niedaleko w górach całe stado olbrzymich żubrów, które lecąc lasem, z wielkim łomotem, drzewa gruchotało i pędziło ku jeziorze zapewne aby się dostać do zapasów siana przy mieszkaniach poskładanego, co groziło zniszczeniem wszystkich budowli nie mogących się oprzeć potężnemu natarciu zwierza. Trwoga powszechna w jednej chwili w osadzie się rozpostarła. Lar wybiegł pierwszy na brzeg dla rozpoznania niebezpieczeństwa i wrócił cokolwiek spokojniejszy, donosząc że najeźdźcze stado zaskoczone nocą, zatrzymało się w odległości dziesięciu strzałów z łuku w gęstym borze, gdzie zapewne noc przeleży, lecz niewątpliwie nad rankiem wyprawę swą na osadę wykona. Z przytomnością więc i męstwem jakie

go odznaczały, zarządził natychmiast użycie nocy na wspólną obronę. Widział że stado składało się blisko z pięćdziesięciu sztuk najroślejszych i najsilniejszych żubrów, a na zwalczenie jednego zaledwie kilkunastu ludzi byłoby dostatecznych. Zajął się więc najprzód zniesieniem na pokłady mieszkań przez najsilniejszych z gromady kilkudziesięciu ogromnych kamieni, prawie skał, co tylko owa potężna pierwotna ludność w tak krótkim czasie dokonać mogła. Tymczasem, wszystkie kobiety skręcały mocne sznury, w które każdy kamień został silnie obwiązany, a na drugim końcu każdego sznura zrobiono oko ściągające się. Zapasy siana, ile możliwości na brzeg pokładów pościągano, zasłaniając nimi zabudowania, i ułożono w sianie kamienie z petlicami, a przy każdym z nich czuwał najodważniejszy młodzian w stogu ukryty. Wszystkie przygotowania przed rozwidnieniem nieba były poczynione, a skoro słońce nad poziom się rozbiło usłyszano zrazu daleki w lesie szelest, który coraz się zbliżając zamienił się wkrótce w grom przeciągły, a tętent racie i chrapanie nozdrzy, łącząc się z druzgotem gałęzi, mógł być tylko porównany z hukiem lawiny z wysokości góry spadającej. W mgnieniu oka cała nawałnica znalazła się nad brzegiem jeziora i tłocząc się nawzajem żubry, przebiegłszy pomosty łączące brzeg z mieszkaniami, rzuciły się z wściekłością na stożyny siana zaspokajając niemi głód wściekły i rozrzucając je rogami na wszystkie strony.

Strażnicy będący przy kamieniach, skryci nieporuszenie pomimo grożącego im niebezpieczeństwa, czatowali na chwilę, w której potężny zwierz do nich się zbliżył: każdy z nich zarzucał petlicę na jeden z rogów żubra i natychmiast uciekając wskakiwał w wodę; a gdy wpław do brzegu dążył rozrzucał za sobą pozostające pomosty. Tym sposobem wszystkie prawie żubry stado składające, znalazły się przywiązane do ogromnych kamieni, a im bardziej się rzucały, i sznur targały, tém silniej do kamieni przyczepione się czuły.

W szale rozpaczy i rozwścieczenia, zwierzęta chcąc się od pętów uwolnić, zaczęły się rzucać w wodę, na co właśnie osadnicy oczekiwali, i używając ostrych dzid i strasząc głośnym krzykiem wszystkie żubry do jeziora pospychali. Każde zwierze szamotało się jeszcze czas niejaki w wodzie, lecz ciągnięte na dno ciężarem kamienia uleść musiało

działaniu wody i wkrótce tylko niekształtne kadłuby lub długie rogi z wody wystające wskazywały, gdzie zatopiony zwierz się znajdował.

Tym sposobem trzydzieści kilka żubrów ze stada ułowiono; reszta na ląd się wydostawszy i ciężaru przypadkowo pozbywszy, w las uciekła. Szkody były mało znaczące; dwa tylko zabudowania zostały przez żubrów rozwalone, trzech strażników lekko ranionych, a najwięcej bohaterski Lar, który jednak wkrótce zdrowie odzyskał. Przez miesiąc cały piekły się w osadzie soczyste mięsiwa żubrów, a Lar powiększył sławę dotąd posiadaną.

Nie było prawie dnia, żeby Lar nie wracał z polowania ze szczęśliwą zdobyczą: nieprzyjacielskie ludzom zwierzęta znały już potężną Larę rękę i jakby przeczuciem wiedzione coraz od osady oddalały się. Lecz zdarzył się pewnego razu zajadły zwierz do lwa i tygrysa podobny (*felis speloris*) lecz wielkości prawie słonia, który straszne w gromadach owiec zrzędał spustoszenia i nie jednego już młodziana lub odważnego starca w swęj wściekłości pożarł. Wypatrzył Lar siedlisko jego i drogi któremi za zdobyczą ugaśniał się. Zwołał więc wszystkich najsilniejszych chłopców osady, choć sam siłę 30tu posiadał. Upatrzył na tygrysim szlaku dwa drzewa bardzo blisko siebie stojące, prawie z sobą stykające się, z których jedno od samego dołu zgiał w pałąk przy pomocy sąsiadów, tak iż się zdawało jakoby cienka witka ku ziemi pochylona. Umieściwszy między drzewami owcę dla przynęcenia potwora, czekał zdala przy szczycie zgiętego drzewa ukryty, aż tygrys na ofiarę swoją rzucił się. Wtedy uwalniając drzewo od przymuszonego nagięcia puścił je wolno, aby się podniosło a zwierze w mgnieniu oka znalazło się schwyte między dwoma drzewami jakby w kleszczach i łatwo dobite zostało. Wtedy Lar za zbawcę osady był ogłoszony, a skóra tygrysa przez długie czasy wyścielała całe obszerne mieszkanie jego rodziny.

Lar nie tylko odznaczył się wielu szczęśliwemi wyprawami na nieprzyjaciół osadników, ale nadto przysługiwał się swoim współmieszkańcom coraz nowemi dobrodziejstwami: nikt lepiej od niego nie umiał wynajdować i podbierać barci ze słodkim miodem; nikt nie umiał zręczniejszy przyrządzić dla kobiet krosien do tkania wełny lub konopi. On nauczył

wytłaczać doskonałe z owczego mleka sery; on najlepiej znał się kiedy czas na połów tłustych ryb lub na łowienie dzików i jeleni, a sarny w biegu dościgając, żywcem chwycił.

Pomiędzy niewolnikami z jednej wyprawy przyprowadzonymi, zdarzył się jeden pochodzący z bardzo dalekich krajów na zachodzie słońca, którego opowiadania wprawiły Lara w mocne zdziwienie. Mówił on, że w kraju jego są owe słonie o kłach olbrzymich, których tylko dawna pamięć w osadzie Lary przechowywała się; mówił rzecz jeszcze dziwniejszą, że mieszkańcy kraju jego, mało jadają mięsa, lecz zbierają ziarnka trawy, trą je na proch, z wodą zarabiają, w ogniu pieką i otrzymują doskonałe pożywienie w zdrowiu i czerstwości ich utrzymujące. Ciekawość Lara nieznająca granic, do najwyższego stopnia pobudzona została. Nie zwierzając się nikomu, puścił się w zachodnie kraje, a wyprawę jego opowie wam mój sąsiad Johann, i niech wszyscy pilnie słuchają, aby na lata i na wieki synowie synów naszych pamiętali dobrze dzieje ojca Lara."

Tu przestał mówić Wilhelm, a ja byłem uderzony zgodnością jego opowieści z odkryciami geologów i wnioskami archeologów, z których się okazuje, że wielka część zachodnio północnej Europy, przechodziła przez epokę lodową, zanim ostatnie ukształtowanie wód i lądów w teraźniejszy stan się wyrobiło. Nie tylko Szwajcarya, ale i Francya, Anglija, część Niemiec i Skandynawia, nawet kraj nasz noszą na sobie cechy takiego pokrycia warstwą lodu, w jakim dzisiaj znajduje się Grenlandya.

Po téj epoce bezpośrednio następuje zjawienie się człowieka wraz z mnóstwem istot dziś zaginionych, albo w inne przeniesionych strefy. Widocznie więc odwieczne wspomnienia Laraitów tych odległych sięgają czasów i od nich dopiero stopniowo do nowych już przechodzą dziejów.

V.

Johann Largrua, poważny o siwój brodzie starzec zajął miejsce Wilhelma, a gdy zgromadzenie uciszyło się, opowiadał rzecz swoją w te słowa:

„Przed latami, przed wiekami, ojciec Lar wybrał się w podróż na zachód słońca. Jako przezorny i roztropny zaopatrzył się we wszystko, co było potrzebne na wyprawę, której nie znał końca. Broń bogatą wziął z sobą; ostrą dźwigę, maczugę potężną kamykami nabijaną i łuk doskonały, który on sam tylko naciągnąć zdołał: zapas strzał ze spiczastymi z twardej ości końcami. Prócz tego topór krzemienisty najdoskonalej wyostrzony; kilka noży i siekierek także krzemienistych: był pewny, że zwierzyny po drodze mu nie zabraknie, więc szedł śmiało i z dobrą otuchą. Kilka pasm gór przebywał, zachwycając się wspaniałością widoków, lecz żaden z nich w jego oczach ojczystych nie przewyższył krajobrazów. Rzek wiele wpływ przepływał, aż wreszcie przybył na otwarte równiny, gdzie go uderzyły obszary zarosłe równą a bujną trawą. Trawy te jedne jeszcze zielone, drugie już żółte, inne pocięte były i w wielkie stogi stawiane ułożone. Zaczął też wówczas spotykać wsie i osady, spokojną zamieszkałą ludnością. Ludzie ci lubo mu się dziwili jako obcemu, ale byli spokojni i gościnni.

Zdołał się wkrótce z nimi rozmówić, a wtedy przekonał się, że niektórzy z nich tylko polowaniu się oddawali, a większa część zajmowała się pracą w ziemi dla otrzymania tych traw najwyżej przez nich szacowanych. Już bowiem w tych krajach zboże zasiewano i zbierano; już woły, mniejsze wprowadzić od dzikich byków na które nieraz w kraju swoim Lar polował, ale silne i wytrwałe, posłusznie chodziły w pług. Na posiłek dano mu chleba, który z razu zdawał mu się mdły i lekki, lecz w którym wkrótce niesłychanie zasmakował. Poznał budowę żaren kamiennych, z których zboże białą wychodziło mąką. Przyglądał się jak kobiety z mąki ciasto zarabiały i albo cienkie placki, albo grube bochenki z niego piekły. Podobały mu się te wszystkie nowości i pilnie je badał; a kędy się zatrzymał, wszędzie był pożądanym gościem, bo czy wielkie korzenie drzew wyważać przyszło, żeby grunt pod uprawę przysposobić, to on z olbrzymią swą siłą za dziesięciu w dniu jednym robotę wykonywał, czy dzikie wilki i rysie szkody w trzodach czyniły, on w krótkim czasie okolicę od tych niszczycieli oswobadzał. Nie spotkał jednak jeszcze nigdzie owych wielkich słońców o których mu niewolnik opowiadał, a dopytując się ciągle o nie,

otrzymywał odpowiedź, iż znajdują się, lubo rzadko dalej na zachód.

Szedł więc ciągle w tym kierunku, przebywał puszcze gdzie zboża śladów nie było; natrafiał na plemiona tylko łowami zajęte, i znowu spotkał osady rolnicze. Aż doszedł do wielkiego i okiem nie dościgniętego morza, które przecinając mu drogę na zachód, zniewoliło do zwrócenia się więcej na południe i oddalenia od oceanu. Aż dnia jednego zbliżając się do porządnój i ludnój osady, ujrzał z najwyższym swoim uradowaniem, trzy olbrzymie zwierzęta wyraźnie do opisywanych słoniów podobne, spokojnie postępujące i noszące na karku po jednym lub kilku ludzi, zaledwie wyglądających z poza potężnych kłów i jeszcze potężniejszej trąby. Lubo najodważniejsze w nim biło serce, nie mógł w pierwszej chwili ochłonąć jeżeli nie z przestachu, to z nadzwyczajnego podziwienia. Przyzwyczajony był do widoku rozwścieczonych wielkich mieszkańców puszczy ojczystych, turów, byków, niedźwiedzi; lecz daleko ogromniejsze zwierze w łagodnój zgodzie z człowiekiem zostające, pierwszy raz zdarzyło mu się oglądać. Widząc więc osiągnięty szczęśliwie cel swojej wędrówki, zatrzymał się na czas długi we wsi i wszedł w przyjazne z mieszkańcami stosunki. Znalazł tam jedną rodzinę do której się mocno przywiązał, a pociągami do niej szczególnym była zapewne młoda, urodziwa i szczerego serca dziewczyna, od której oczu i myśli odwrócić nie mógł. Gościnnie przyjęła go ta rodzina osadników i wkrótce stał się współnikiem wszystkich jój prac, zajęć i rozrywek. Jeden ze słoniów należał właśnie do tego gospodarza i był za niezmierny skarb poczytywany, gdyż więcej nad owe trzy słonie nie tylko w wiosce, ale i w całym okolicznym kraju wcale się nie znajdowało. Mówili mieszkańcy co od swych dziadów i pradziadów słyszeli, że niegdyś mnóstwo było tych zwierząt, lecz że zwolna znikają;—dzikich wcale już nie ma,—a tylko te trzy obłaskawione w wiosce się znajdują. Dawniej długa sierć tych słoniów, służyła na tkanie odzieży i na poślanie, czego jeszcze liczne dawniejsze zabytki mieszkańcy posiadali. Z kości kłów mnóstwo było narzędzi i sprzętów zręcznie wyrabianych,—a same żyjące zwierzęta dawały nadzwyczajne dowody zmyślności i przywiązania do ludzi. Lar niedługo stał się najulubieńszym towarzyszem słonia; wzajemnie się

rozumieli głosami i znakami. Jeśli potrzeba było ciężkie usuwać kamienie z miejsca gdzie droga przechodziła, słoń przez Lara zachęcany i namówiony, chwycił trąbą potężne odłamy skał i z łatwością na bok je odrzucał. Jeśli leżące na ziemi grube drzewa, przez środek przełamać należało, — dość było aby słoń na nie stąpił olbrzymią swą nogą. Lecz największą było Lara uciechę wyprawianie się ze słońciem na polowanie jeleni, łosi, i sarn; — rzadko kiedy Lar uciekać się musiał do swój broni, która jednak w jego ręku nigdy nie chybiała. — Dość było wprowadzić słońia w napaśniczy zapał; chwycił on wtedy w biegu uciekającą zwierzynę i zgruchotaną siłą swój trąbą Larowi w dani składał.

Szczęśliwie i błogo upływały dni Lara w osadzie, bo i dziewica coraz mu się skłonniejszą okazywała; lecz dręczyło go wspomnienie rodzinnego jeziora i wspaniałych gór je otaczających i wszystkich plemienników, których na jeziorze pozostawił. — Aż oto dnia jednego ogromna rozpostarła się trwoga, w wiosce, i goniec za gońcem przybywał z innych bliższych i odleglejszych okolic donosząc, że od południa ciągnie chmara strasznych, krwiożerczych nieprzyjaciół, którzy wszystko niszczą i mordują po drodze, a pochodzą z owych plemion o czarnej skórze i kędzierzawych włosach, które ludzi jakby zwierzynę jaką pieką i zjadają, spokojnych zatrudnień nie znają i tylko ciągłym mordem żyją. Zbierały się orszaki zbrojne, wspólną bojaźnią i wspólném niebezpieczeństwem wiedzione, a gdy już wielkie ich zgromadziły się zastępy, dowództwo całej wyprawy oddano Larowi, którego nieustraszone męstwo i biegły rozum były już mieszkańcom dostatecznie znane. Podjął się Lar z ufnością tego trudnego dzieła, nie tyle przez zamiłowanie niebezpieczeństw i walki z przeciwnościami, ile przez wdzięczność dla mieszkańców przez których tak gościnnie i serdecznie był przyjęty, i przez obawę, aby droga mu dziewica mniej pewną miała obronę. Straszne było najście barbarzyńskiej hordy, i gdyby nie przytomność umysłu i nie odwaga Lara, cała ludność miejscowa byłaby niewątpliwie wymordowana. Lecz on mądrymi rozporządzeniami i bohaterskiem poświęceniem, odwrócił szalę zupełnego zwycięstwa na stronę osadników. Naczelnik najezdźców padł z jego ramienia; — on także ubił dwóch nie-

przyjaciół, którzy już ukochaną przez niego dziewczę gwałtem uprowadzali; całe plemie czarne zostało wytopione tak szczęśliwie, że zaledwie kilka trwożliwych ucieczką się ratowało. Nie można opisać radości i szczęścia zwycięzców, jednozgodnie oddających hołd swemu dowódcy, szlachetnemu Larowi. Wszystko więc wdzięczna ludność osadnicza zbawcy swemu w ofierze nieść była gotowa. Wtedy Lar wspomniał znowu na swój kraj rodzinny i prosił, ażeby pozwolono mu się do niego oddalić z dziewczą, którą ukochał i obrońcą, a którą za żonę pojąć pragnął. Ojciec narzeczonej uprzedził także najgorętsze życzenie Lara, obdarzając go ulubionym słońcem i pozwalając na zaprowadzenie go do kraju swego. Nie zapomniał Lar o najszacowniejszym też nabytku, jaki w wędrówce swęj pozyskał. Był już wtajemniczony we wszystkie sposoby i potrzeby uprawy zboża i w sporządzanie z niego drogocennego chlebnego pożywienia. Żona jego która od męża Larą się przezwiała, najdoskonalej chleb przygotowywać umiała i wszystko przewidywała, aby jęj mężowi i jęj samęj na tym posiłku w dalekiej podróży nie zbywało. Z niewymownym więc smutkiem i żalem żegnała się gościnną osadą z odjeżdżającym na słońcu Larem z żoną swą Larą, a oni puścili się w drogę kierując się podług słońca i gwiazd ku pięknemu naszemu zmierzając jezioru. Nic nie wiemy o szczegółach powrotnęj drogi Lara z młodą małżonką. Zawsze Lar o tęj części swego życia opowiadać wzbraniał się i tylko mówił a nawet często powtarzał, że nigdy szczęśliwszy nie był. To tylko pewna, że więcej jak piętnaście lat upłynęło od opuszczenia jeziora przez Lara, kiedy dnia jednego chłopcy przybiegli do siostry jego już dawno zamężnej i rodziną otoczonej, donosząc że od strony zachodnięj góry zbliża się jakieś dziwowisko, które ich tak przestraszyło, że bez tchu do wioski przybiegli. Wieść ta piorunem między sąsiadami rozniesiona, wywiodła ich wszystkich i z kobietami na brzeg, lecz skoro dostrzegli zwolna z góry zstępujący nieznaną potwór, rozbiegli się na wszystkie strony w największym przestachu. Starsi wspomnieli dawno znikniętego Lara, żałując że się między niemi nie znajdował, aby stać się dobrą radą lub obroną. Lecz Lar i Lara przybywszy na brzeg jeziora, zatrzymali słońca, zręcznie się z niego zsunęli. Lar padł na ziemię i gorąco ją całował, a Lara zbierała

sprzęty z sobą przywieszone, ułożyła je w kupkę i usiadła przy niej trzymając w ręku wielki chleba bochenek. Lar po ochłonięciu z pierwszego wzruszenia począł przeglądać do brze znajome sobie puste chaty jeziorowej wioski i bez trudności domyślił się powodu zniknięcia mieszkańców; udał się więc na ich odszukanie, czego z łatwością dokonał. Wkrótce poznany z okrzykiem wielkiej radości przez wszystkich był przyjmowany. Ale pomimo swojego łagodnego objaśniania, nie zaraz zdołał uspokoić obawy mieszkańców na widok potwornego słonia, który im się niezbadaną a straszną wydawał istotą. Gdy jednak niektórzy, mianowicie starsi zaczęli się spokojniej słoniowi przyglądać, przyznali iż widok jego zupełnie się zgadza z opisami, jakie o tych stworzeniach od starych swych przodków posiadali. Młodszy — a szczególnie niewiasty skoro nabyli przekonania o spokojności i łagodności zwierzęcia, jeżeli drażnione nie jest, z zupełnym już poświęceniem niem się zajęli. Uszczęśliwiony i swobodny Lar, przedstawił matce swojej, którą jeszcze przy życiu zastał, gdy ojciec zmarł już był dawno, — ulubioną Larę, która i przez jego rodzinę i przez całą osadę wielce została pokochana. Często walczyli Lar i Lara rozciekawionych osadników smakowitym chlebem i rozpowiadali o cudach dalekich krain. Lar tłumaczył obszernie jak się zboże zasiewa i zbiera, a Lara jak się z niego doskonały chleb wypieka. Więc zaraz cała wieś, pod przewodnictwem Lara poczęła zajmować się przygotowywaniem gruntu do zasiewów ziarna. Lar nauczony jak ujarzmić byki, robił często wyprawy na łowienie żywcem dzikich tych zwierząt, i lubo z początku z trudnością, zdołał jednak w lat kilka przyswoić małe stadko krów i byków, z których potem nasze piękne rozrodziło się bydło. Obyczaje osadników znakomicie się zmieniły, więcej jeszcze przywiązali się do ziemi nad jeziorem rozciągającej się, która ich swemi żyznemi plonami żywić zaczęła. Lara stała się wzorem gospodyni, Lar wzorem pracowitych i użytecznych dla współrodaków ludzi. Wtedy to on wykuł własną ręką tablicę kamienną dotąd przechowywaną, a przekazać mającą pamięć ostatniego żyjącego mammuta i pierwszego w osadzie spożytego bochenka chleba. Słoń wszelkimi opatrywany wygodami, wszystkich niemal obecnych jego przybyciu przeżył i zakończył istnienie dopiero za pra-

prawnuka Lara, chociaż Lar żył blisko półtora wieku i Lara podobnie. A byli szczęśliwi i błogosławieni przez całe swoje plemię: odtąd się ono Laraitami mianuje, niech więc wszyscy Laraici dobrze słyszą i pamiętają te dzieje ojca ich Lara i matki Lary, aby je przez lata i przez wieki potomkom swoim dla niewygasłej przekazywali pamięci."

VI.

W całym opowiadaniu Johanna nie znalazłem nic przeciwnego wypadkom nauki, gdyż jak już wyżej wspomniałem, jest teraz rzeczą dowiedzioną, że mammuty żyły na ziemi jednocześnie z człowiekiem, nie ma zaś nic niepodobnego do prawdy, iżby były zdolne do obłaskawienia, skoro dotychczas istniejący w krajach południowych gatunek słonia, stał się domowym zwierzęciem. Że przy wygasaniu rodu mammutów, mogły niektóre pojedyncze zwierzęta długo się utrzymywać w pewnych okolicach, jest także rzeczą bardzo możliwą, i zapewne mammut o którego istnieniu przechowało się podanie u Laraitów, był jednym z ostatnich okazów na ziemi, gdyż jak sami Laraici przyznają, dotąd żaden z nich o podobnym na ziemi stworzeniu nie słyszał; dlatego też przyprowadzenie mammuta przez Lara tak silne i dotąd niewygasłe uczyniło na ich plemienu wrażenie.

Co do użycia chleba na pokarm ludzki, jest to także niewątpliwie wypadek poprzedzony bardzo długimi wiekami prób i doświadczeń, tudzież równoczesny prawie z poświęceniem się ludności miejscowej rolniczym zatrudnieniom. Najdawniejsze podania ludów poczytują między bóstwa lub między najwyższych dobroczyńców ludzkości tych, co skierowali mieszkańców do rolniczej pracy i ludność chlebem karmić się nauczyli, a być bardzo może, że części południowe Gallii, dzisiejszej Francji, dawniej weszły na tę drogę ogłady społecznej, od zakątków Szwajcaryi trudno dostępnymi górami otoczonych.

Po Johannie Largaicie, dwóch jeszcze mówców głos zbierało, w którym malowali spokojne lecz czynne życie Lara po powrocie jego z wyprawy zachodniej. Nie powtarzam tych opowiadań, aby w zbytnią nie wpadać jednostajność,

choć wszyscy słuchacze do których mowy te były skierowane, z najwyższym napięciem ducha i ciągłym zajęciem ich słuchali.

Były to obrazy po części wojownicze, opisujące napady i obrony różnych plemion wzajemnie się napastujących, po części zaś i to większej, opowieści sielskie i domowe, wypełnione szczegółami chowu bydła, koni, drobiu gospodarskiego, uprawy różnych roślin i drzew użytecznych, wreszcie zabaw i świąt miejscowych. Z mów tych wiała jakaś prostota spokojna, bardzo zgodna z dotychczasowem usposobieniem szwajcarskiego ludu, chociaż pomiędzy nim znajdują się coraz częściej wysoko wykształceni ludzie, jak tego widziałem przykłady na samym starym Wilhelmie i młodym Hansie.

Po ukończeniu tych przemów, które wszystkie były rozpoczynane i zamykane odwoływaniem się do odwiecznych Laraitów wspomnień, przystąpiono do spełnienia dalszego obrzędu, to jest nacięcia tablicy na dolnej krawędzi, co wykonał Hans zwyczajnym ostrym pilnikiem. Wtedy bliżej się przyjrzałem tym karbom brzegów tablicy i przekonałem się, że lubo one dość nierówne co do długości i głębokości rysów, a widocznie nie jednakowemi i często niedoskonałemi narzędziami były dopełniane, jednak w przecięciu odległość jednej rysy od drugiej nie przenosiła półtora milimetra tak, że wierzchnia krawędź zupełnie niemi wypełniona, mogła ich liczyć około 700, boczna około 450, połowa krawędzi dolnej do 500, czyli razem blisko 1650 nacięć: przyjmując zaś podług rachunku Laraitów, trzy nacięcia na lat 100, dawność tablicy odnosiłaby się do 350 wieków, czyli 35,000 lat od epoki dzisiejszej. Nie chcę wchodzić w dalsze zagłębianie się badań w tym względzie; przytaczam tylko to sprawdzone przezemnie osobliwsze podanie, które stawiałoby co do starożytności, tablicę Laraitów wyżej od wszystkich dotąd znanych pomników.

Gdy nacięcie na tablicy zostało wykonane i przez starszych zgromadzenia sprawdzone, tablicę i siekierkę złożono w nową skrzyni bardzo prostą, lecz mocną roboty, zanieśiono ją do podziemia, a klucz od niego Hansowi oddano. Drzewo ze starzej skrzyni panna młoda do użytku otrzymała

i pod swoim osobistym nadzorem kazała je odwieść do nowéj piekarni.

Następowała już teraz ostatnia część uroczystości i całe zebranie udało się do nowego gmachu; najprzód zwiedziono muzeum starożytności miejscowych, porządnie i umiejętnie, choć bez żadnego przepychu urządzone. Z niezmierném zajęciem, więcej jako widz ciekawy, niż jako szczególny znawca rozpatrywałem się w tych zabytkach przenoszących zwiedzającego w tak odległe wieki. Mało gdzie równe bogactwo wykopalisk tego rodzaju spotkałem; nie wątpię więc, że nauka może z nich wielką odnieść korzyść, zwłaszcza że z zadziwieniem dostrzegłem jak starannie przy każdym przedmiocie objaśnione były czas i miejsce odkrycia, z dokładném naukowém wskazaniem warstwy geologicznój. Stary Wilhelm i Hans z prawdziwą znajomością rzeczy i największem zamiłowaniem wszystkie objaśniali mi szczegóły.

Tymczasem przygotowania czyniono do wprowadzania w ruch nowo otwierającego się młyna mechanicznego, a Liza dawno już znikła, aby objąć gospodarstwo w piekarni i pośpieszyć z dokończeniem zapowiedzianego dziś pierwszego jéj pieczywa. Tutaj Hans znalazł się w swoim żywiole. Naprzód nas zaprowadził do wielkiej maszyny parowej o sile 40 koni i zaraz objaśnił, że ponieważ machina ta użytą jest nietylko do samego młyna, ale i do piekarni, pierwsze więc naręcza drzewa, z którego ogień kocioł rozgrzewa, pochodzi z porąbanéj skrzynki tablicę Lara zawierającą, i przez Lizę do pieca wrzucone i podpalone zostało.

Nie mogłem się oprzeć głębokiemu a dziwnemu wrażeniu przy tak nagłym przejściu od widoku prostych zabytków przemysłu ludzkiego z zamglonéj przeszłości, do całej siły, potęgi i różnaitości tegoczesnych wynalazków, do tych boskich niemal cudów mechaniki i fizyki, dla użytku ludzkiego społeczeństwa przystosowanych. Zakład cały na wielką urządzony stopę, puszczonej został w ruch za danym przez Hansa znakiem i w mgnieniu oka wszystkie koła zaczęły się obracać, pasy rzemienne i gutaperkowe łączące różne mechanizmy, zaczęły różno-tonnie warczyć, a stempel maszyny parowej takt wybijając, zdawał się nadawać niejako żywy kierunek téj potężnej a gwałtownej muzyce, która jeżeli nie

melodyą, to niewątpliwie jakąś straszną harmonią wprowadza umysł w zdumiewający szal wielkości i siły.

Gdyśmy przybyli do piekarni, zastaliśmy Lizę, dzisiejszą Larę, wydającą z powagą i spokojnością zarządzenia licznyim pracownikom i pracownicom. Wytłumaczyła nam jasno i umiejętnie wszystkie części używanych przyrządów i stopniowe postępowanie roboty; lecz skryła przed nami wypadki tych działań, ażeby dopiero w właściwej chwili z niemi wystąpić.

Znużeni wszyscy całodzienną uroczystością, lubo ciągłym podniesieniem ducha ożywiani, z wielką radością zasiędlili do wspólnej, choć bynajmniej nie wykwitnej uczyty, na którą i ja gościnnie zaproszony zostałem.

Tu znowu wrażenie na końcu doznane przy oglądaniu znakomitego zakładu przemysłowego, zatarte zostało wspomnieniami dawniej przeszłości. Zdawało się, że tak właściciel młyna mechanicznego jako i wszyscy goście, przekonawszy się naocznie o doskonałym jego urządzeniu, byli już zupełnie spokojni, że ten świat ruchu i działania przez ludzki przemysł stworzony, pójdzie dalej w swoim życiu również zgodnie i harmonijnie, jak wiekuisty świat niebieski niemyłą ręką Stwórcy kierowany. Lecz mgłą otoczona przeszłość, coraz nowe ogniwa ciekawości, domysłów i przypuszczeń odkrywała. Dzieje więc Lara, głównym i wyłącznym niemal były przedmiotem powszechnych rozmów; a jeżeli który ze starszych przypominał sobie jeszcze jaki szczegół dotąd nie wypowiedziany, lub posiadał wiadomość o dziejach którego z potomków Lara i Lary, chętnie był słuchany i chętnie rozповідаł to, co do wiadomości jego doszło. Uczta jeszcze nie była przepołowiona, kiedy Liza wstała od stołu i wróciła wkrótce niosąc na tacy ogromny bochen świeżego, jeszcze ciepłego chleba, który przed Hansem złożyła. On nie kładąc go rozdawał wszystkim obecnym, przy ogólnych z zapalem powtarzanych odgłosach: „Przed latami, przed wiekami, ojciec Lar i matka Lara, smacznym chlebem nas karmili. I dziś naszemu Larowi, i dziś naszej skrzętniej Larze, za chleb dobry dziękujemy.” Tu już główny obrzęd był dopełniony; lecz dla wszystkich niespodzianką stało się, gdy Liza weszła powtórnie prowadząc za sobą szereg posługaczek, które zaczęły roznosić najrozmaitsze ciasta świeżo

z pieca wyszłe. Główne tam zajmowały miejsce, sławne bułeczki imie Lizy noszące i rozliczne inne pieczywa, których doskonałości uczujący nie mogli się dość nachwalić. Lecz wszystkich zadziwienie było największe, gdy dwóch ludzi z trudnością ciężar dźwigając, wniosło ogromne ciasto w kształcie pamiątkowego mammuta wyrobione. Były tam i cztery grube nogi, i kły niezmiernie długie kolisto zakręcone i trąba węzowato wywinięta. Liza złożyła teściowi ten owoc swojego wymysłu, którego smak okazał się wyborny i wystarczył dla częstowania nim wszystkich zgromadzonych. Okrzyki na cześć ojca Lara i matki Lary, tudzież dzisiejszego młodego małżeństwa, nieraz się jeszcze ponawiały i dzień w najserdeczniejszej zakończył się wesołości.

Ze szczerym żalem opuszczałem nazajutrz ten gościnny a tak szczególny zakątek ziemi, gdzie niespodzianie znalazłem to, czego uczeni często napróżno z takim mozołem poszukują. Za otrzymaniem zezwolenia starego Wilhelma i Hansa, rozpisałem wkrótce listy do znajomych mi starożytników i geologów różnych krajów, donosząc im o znakomitym zbiorze wykopalisk z epoki kamiennej w Larsdorfie znajdującym się, a szczególnie o owój najciekawszej tablicy kamiennej ojca Lara, która na najtroskliwsze zbadanie zasługuje. Domieściłem jednak zarazem ostrzeżenie przez Wilhelma i Hansa wyrażnie odemnie wymagane, że żaden z uczonych któryby Larsdorf zwiedzić chcieli, nie będzie miał okazanej tablicy Lara, tylko w czasie odwiecznym zwyczajem uświęconej. Nie bowiem Laraitów skłonić nie zdoła do otworzenia sklepienia zawierającego skrzynię z tablicą, przed dniem ogłoszenia nowego Lara, to jest przed śmiercią Hansa Larsberga i obchodem ślubu jego następcy.

Czerwiec 1866 r.

